



w zaistniałych okolicznościach nie było zbyt elastyczne. Jak się później dowiedziałam, za cały wyjazd słono przepłaciłam. Może zwyczajnie byłam niezbyt pewna podróży do nieznanego miejsca, więc za bardzo przyłożyłam się do rezerwacji i organizacji. Powrót do Sumbawa bez sprzętu nie wchodził w grę, jedynym wyjściem było dopłacić i przebukować lot.

Teraz chciałam przede wszystkim zwiedzić wyspę. Nieźle wiało, więc na mapie znaleźliśmy na zachód od Kuta spot dla surferów zwany Changu, gdzie wiało prostopadle do wybrzeża. Nie mieliśmy sprzętu, ale chcieliśmy sprawdzić, czy na Bali w ogóle da się surfować.

Znaleźliśmy taksówkarza, który zgodził się nas tam zawieźć za około 100 000 rupii – 20 km w obie strony. Co to była za przygoda – jazda samochodem w Azji! Wszędzie masa motocykli. Po trzy osoby na motorze, bez kasków, w szortach i japonkach, małe pojazdy ciągnięte przez konie, stare ciężarówki, które zdecydowanie nie przeszłyby żadnego testu bezpieczeństwa w Europie, jeepy, itd. Jedynym skutecznym sposobem na posuwanie się do przodu było używanie klaksonu. Nie miałam pojęcia, dokąd jechaliśmy. Kuta wydawało się nie mieć końca. Wszędzie masy ludzi, domy, małe świątynie, pełno hałasu. Z pewnością nie było to najspokojniejsze miejsce na Ziemi, jednak jakimś cudem

nasz kierowca panował nad sytuacją. Nareszcie mieliśmy wrażenie, że opuszczamy miasto. Widzieliśmy pola ryżowe na zboczach drogi (większość Balijszczyków żyje z uprawy ryżu). Po godzinie (20 km!) dojechaliśmy na miejsce.

Wiało, ale nie tylko my poszukiwaliśmy wiatru. Spot musiał być dobrze znany. Na wodzie zobaczyłam około piętnastu żagli. Wiatr wiał sideshore i były całkiem niezłe fale załamujące się na rafie. Spodziewałam się wprawdzie, że będą głębsze, ale i tak wyglądały obiecująco. Trochę trudno mi było po prostu siedzieć na plaży bez sprzętu i patrzeć jak inni wymiatają, ale cóż – nie miałam wyjścia. Okazało się, że znam około